

Dwie Alicje

Wzdychająca amantka, która za moment umrze na suchoty? To nie mezzosopranistka. Te są drapieżne i ekspresyjne. Zakładają przedszkola, walczą w bitwie na głosy – o to, żeby nie wylać Mozarta z kąpielą. Czy kryją nieśmiałość w duszy – Mai Jaszewskiej zdradza Alicja Węgorzewska-Whiskerd, współczesna diva polskiej opery. Mezzosopran
zdjęcia Rafał Masłowski

Zagrała pani Orfeusza w operze Glucka „Orfeusz i Eurydyka”. Jak pani sądzi, dlaczego Orfeusz po pokonaniu tyłu trudności, kiedy już wychodził z Hadesu, obejrzał się jednak za Eurydyką i bezpowrotnie utracił możliwość jej odzyskania?

Bo dopadła go ludzka słabość. Coś, co robimy czasem przeciwko sobie i przez to tracimy niepowtarzalne okazje. Sama nieraz, gdy bardzo mi zależało na zaśpiewaniu jakiejś partii czy udziale w koncercie, otrzymywałam to w prezencie od losu, ale byłam tak zaferowana, że działałam na własną szkodę, tracąc wyczekaną okazję. Jest taki syndrom zostawiania na ostatnią chwilę czegoś, na czym nam bardzo zależy. I potem okazuje się, że ta ostatnia chwila jest zbyt krótka i nie wystarcza na przygotowanie.

Swoją drogą to niesamowite, że zaczęła pani od Orfeusza...

Tak bardzo ważna była dla pani ta rola?

Kilka razy w życiu zdarzyło mi się doświadczyć, jak sztuka dogania moje życie. Kiedy robiłam pierwszą wersję Orfeusza, mój mąż miał poważną operację. Jeździłam do niego pomiędzy próbami. Czuł się coraz gorzej, bo okazało się, że operacja była źle przeprowadzona. Ale ponieważ nie do razu została postawiona trafna diagnoza, to jego stan tak się pogorszył, że godziny dzieliły nas od tragedii. Przeszedł kolejne dwie operacje i dopiero po wielu dniach zaczął powracać do życia. Na próbie okazało się, że nie jestem w stanie śpiewać partii Orfeusza. Klęczałam na scenie nad grobem Eurydyki, a łzy leciały mi ciurkiem po twarzy...

Kolejny taki splot miał miejsce, kiedy pojechałam do rodzinnego Szczecina zaśpiewać Carmen. Bardzo się cieszyłam, że babcia, która mnie wychowała, będzie mogła przyjść na ten występ. Rano, w dzień przedstawienia dostałam wiadomość, że babcia zmarła. Chciałam odwołać występ, ale przyjaciel namówił mnie, żebym tego nie robiła. Pierwsze dwadzieścia minut spektaklu było dla mnie bardzo trudne: wydawało mi się, że nie dam rady dokończyć występu. W scenie, w której rozkładałam talię kart, śpiewając *toujours la mort*, czułam, że całkowicie panuję nad głosem, ale nie jestem w stanie zapanować nad ciałem. Łzy kapały mi na karty.

Powiedziała pani kiedyś, że śpiew angażuje ciało i emocje aż po wnętrzości.

Śpiewam każdą komórką swojego ciała. My, śpiewacy operowi, jesteśmy jak sportowcy. Nasz zawód wymaga ogromnej kondycji. Podczas spektaklu potrafię zrzucić 2–3 kilo. Ale nic dziwnego, skoro przez cztery godziny stoję na scenie w ciężkim kostiumie, pot po mnie spływa, a ja cały czas śpiewam w pełni skoncentrowana. Dlatego nie wierzę, że można codziennie śpiewać przedstawienia. Chyba, że się chałturzy albo symuluje.

Czesław Miłosz napisał o Orfeuszu: „Na swoją obronę miał lirę dziewięciostrunną, niósł w niej muzykę ziemi przeciwko otchłani”. Piękny głos jest również taką potęgą?

Ostatnio kilka razy, gdy śpiewałam, ludzie płakali. Śpiew to błogosławieństwo. Ale też i piętno, bo jeśli ktoś ma talent, lecz z jakichś powodów nie uda się go zrealizować, niemoc staje się przekleństwem. Tymczasem na spełnienie w tym zawodzie składa się wiele czynników, nie tylko talent, ale i szczęście, determinacja, odporność psychiczna. Śpiewanie jest jak narkotyki. Jeśli się już zacznie śpiewać, nie ma odwrotu z tej drogi.

Gdzie szuka pani inspiracji do swoich ról?

Słynna śpiewaczka Helena Łazarska powiedziała mi, że ilość przeżyć ma wpływ na ból w głosie, na to, co można głosem przekazać. Myślę, że najpierw musi zaistnieć bardzo solidna podstawa, trzeba nauczyć się nut, harmonii, rytmu, stylów muzycznych, a potem historii muzyki i jeszcze wielu, wielu innych rzeczy. Trzeba też czerpać wiedzę od wielkich ludzi – ja miałam szczęście w życiu takich spotkać. Poza tym zawsze staram się znaleźć czas na teatr czy wystawę. Dużo czytam. Nie do każdej roli mogę znaleźć inspirację we własnych doświadczeniach. Kiedy przygotowywałam się do roli sierzanta von Katte – kochanka księcia Fryderyka, pojechałam do Poczdamu, żeby zainspirować się miejscem, gdzie mieszkał.

Jest pani specjalistką od tzw. ról spodenkowych.

Jak wyprawia się pani w ten męski świat?

Odwołuję się do swoich aktorskich umiejętności. Pomaga mi w tym też charakterystyka. Ale przyznam, że te role były ciekawe na początku kariery, dziś odnajdywanie w sobie męskiego pierwiastka mniej mnie bawi. Myślę, że ten mój wewnętrzny chłopczyk już umarł.

Niedawno w „Fauście”, reżyserowanym przez Roberta Wilsona, zagrałam rolę Siebla umizgującego się do Małgorzaty. Reżyser wymyślił, że nie będzie to młody chłopak, ale obleśny starzec. Byłam tak ucharakteryzowana i śpiewałam tak zmienionym głosem, że nie poznała mnie nawet moja mama. To chyba była moja ostatnia męska rola w życiu.

Można się spotkać z opinią, że my, Polacy, jesteśmy wyjątkowo mało muzycyjni...

My jesteśmy proszę pani kompletnie głusi! I to na własne życzenie. Jaką ofertę muzyczną otrzymują nasze dzieci? Ile państwo przeznaczają na kulturę? W Niemczech mieszka 80 milionów ludzi i jest 100 teatrów muzyczno-operowych, które non stop grają i zawsze są pełne. W niemieckich szkołach dzieci mają zajęcia z tańca, śpiewu, gry na instrumentach... >

Nie wierzę w to, że wszystko możemy zaplanować, tak samo jak nie wierzę, że rzeczy dzieją się przypadkowo, bez głębszego sensu. Wszystko mogę stracić, głos też...

A bynajmniej nie po to, żeby wykształcić zastępy wirtuozów, ale by dzieci optymalnie się rozwijały. A nasza oteępała i głuchnąca od ipodów młodzież często nawet nie wie, kim był Jan Sebastian Bach. Nie mam nic przeciwko muzyce rozrywkowej, sama czasami jej słucham, ale dlaczego nasze dzieci i młodzież mają dostęp tylko do takiej muzyki? Szkoła umywa ręce od ich edukacji kulturalnej. Nikomu na tych młodych ludziach nie zależy.

Niektórzy twierdzą, że opera w dzisiejszych czasach straciła prawdę i żeby ją odzyskać, trzeba zastosować nowe środki wyrazu, chociażby techniki wizualne.

Co pani sądzi o tych próbach uwspółcześnienia opery?

Nie jestem ani przeciwniczką, ani orędowniczką takich poszukiwań. W każdym stylu można zrobić zarówno wspaniałe, jak i kiepskie przedstawienie. Pracuję teraz nad monodramem operowym Jerzego Snakowskiego „Diva for rent”, którego premierę planujemy na 9 czerwca w teatrze Polonia. Przygotowujący scenografię i plakat Rafał Olbiński słusznie zauważył, że jeśli naszpikujemy spektakl multimediami, widz nie zauważy treści. Pogoń za nową formą powoduje, że wszystko jest zbyt dosłowne, a przez to brakuje nam alegorii i metafory. Nie wolno stawać się niewolnikiem konwencji, jakakolwiek by ona była. Nie lubię koturnowego stylu w operze, ale jeśli będą w niej tylko ledy, dżinsy, komputery i obrazki rodem z MTV, straci całą swoją magię.

To co w operze jest najważniejsze?

Dusza. Słucham, jak na konkursach szopenowskich grają tłumy genialnie wyćwiczonych pianistów, ale jakby ich posadzić za zasłoną, są nie do odróżnienia, bo żaden nie ma rysu indywidualności. U nas w wokalistyce jest podobnie. Tymczasem nie zostaje się Pogorelicem czy Zimmermanem, grając perfekcyjnie. Jak mówiła Maria Callas: nuta nie ma być piękna, ale taka, żeby ci duszę rozerwało. Na początku kariery zaproszono mnie do udziału w galowym koncercie w Theater an der Wien. Śpiewały ze mną dwie boginie mezzosopranu – Fiorenza Cossotto i Grace Bumbry. Po koncercie Grace powiedziała do mnie: „Słuchaj, dziecko, bardzo ładnie śpiewasz i masz ładny głos, ale przyjeżdż do mnie do Szwajcarii, to pokażę ci kilka ważnych rzeczy. Bo to ma być porywające, a nie piękne. My jesteśmy mezzosoprany, które grają *witches or bitches*, więc masz być drapieżna i ekspresyjna. Nie jesteś wzdychającą amantką, która za moment umrze na suchoty. My, mezzosoprany, trujemy sopranistki i odbijamy im mężczyzn”.

Pojechałam do Lugano i wiele się nauczyłam. Miałam szczęście, że spotykałam takie osoby, i to od początku mojej kariery. W średniej szkole moim wychowawcą był Henio Sawka – genialny rysownik. Zaszczepił we mnie miłość do literatury i do pisania. Był czas, że pisałam felietony operowe. Kolejni moi wielcy przewodnicy to kuzynostwo Joanna i Jan Kulmowie. Ich dom w Strumianach zawsze był szeroko otwarty dla utalentowanej młodzieży, którą się opiekowali, edukowali i karmili.

Kiedy Bogusław Kaczyński opowiada o primadonnach, słucha się tego jak bajki. Uwielbiane, noszone na rękach, budzące powszechny zachwyt. Czy dzisiejsze divy spotykają się z podobną atencją?

Nie mogę powiedzieć, że nie cieszę się estymą, ale ten zawód nie jest już tak zaczarowany, jak kiedyś. Nie jestem divą, która leży i pachnie. Czasami ktoś do mnie dzwoni o 11 i pyta nieśmiało, czy mnie nie obudził. A ja sypiam między 2 a 7, chyba że mam spektakl i chcę się wyspać. Moja córka idzie na 8 do szkoły, więc muszę wcześniej wstawać.

Dzisiaj to gwiazdy muzyki pop skupiają na sobie olbrzymią uwagę mediów i mają oprawę w postaci sztabu specjalistów. Ja podróżuję samotnie i sama ciągnę swoje walizki. Jeszcze za granicą mogę liczyć na pewne względy, bo przynajmniej polski konsul odbierze mnie z lotniska, a po występie zostanie wydany na mój cześć bankiet. Niestety, u nas wygląda to dość przaśnie. Chyba że biorę udział w koncercie rozrywkowym, wówczas dostaję piękny apartament w hotelu. Ale jako śpiewaczka operowa mam do dyspozycji zwykły pokój, ponieważ opery mają bardzo niski budżet.

Jak w pani życiu pojawiła się opera?

Wszystko się zaczęło, gdy miałam cztery lata i mama mojej kuzynki kupiła jej pianino. Zobaczyłam je i... zaczęła się moja miłość do muzyki. To był zachwyt od pierwszego wejrzenia. Zaczęłam uczyć się grać. Kiedy skończyłam liceum muzyczne i przyszło wybierać studia, nie wiedziałam, na co się zdecydować. Pociągała mnie pianistyka, ale też aktorstwo i polonistyka. Ponieważ w międzyczasie odkryłam w sobie talent wokalny, ciocia Kulmowa zabrała mnie na przesłuchanie do Warszawy do Zdzisi Donat i ta zawyrokowała: „Żadne aktorstwo. Ma głos i będzie śpiewać”.

Opera skupiła wszystkie pani zainteresowania: słowo, muzykę, grę aktorską i śpiew. Poza tym zagrała pani w „Domu nad rozlewiskiem” matkę autystycznego dziecka, nagrała ścieżkę dźwiękową do filmu „Wiedźmin”, założyła fundację StartSmart, w ramach której prowadzi pani działalność charytatywną, przedszkole i żłobek...

...a w planach mam założenie szkoły. Kocham muzykę, ale na niej świat się nie kończy. Jeśli się żyje tylko jedną pasją, to choćby była ona największa i najpiękniejsza, umyka nam wiele cennych rzeczy. Nie wierzę, że wszystko możemy zaplanować, tak samo jak nie wierzę, że rzeczy dzieją się przypadkowo, >

Nie zostaje się Pogorelicem czy Zimmermanem, grając perfekcyjnie. Jak mówiła Maria Callas – nuta nie ma być piękna, ale taka, żeby ci duszę rozerwało

bez głębszego sensu. Wszystko mogę stracić, łącznie z głosem. Kiedy mój mąż był chory, uświadomiłam sobie, że nic nie jest dane raz na zawsze. A ponieważ nie mogłam wtedy znaleźć odpowiednio dobrego przedszkola dla mojej córki, założyłam fundację i otworzyłam własne przedszkole. Chciałam, żeby moje dziecko od najmłodszych lat uczyło się języków i muzyki. Dzieci zdobywają takie umiejętności bezboleśnie, co więcej – wspiera to ich ogólny rozwój. Znam cztery języki, ale zaczęłam się ich uczyć późno i sama wiem, ile mnie to kosztowało.

Mówi pani: „otworzyłam przedszkole”, tak jakby to było banalnie proste...

Nie było proste. Stopień komplikacji prawnych i absurdalnych nieraz wymagań był przerażający. Ale ja jestem uparta i jeśli chcę coś osiągnąć, dążę do tego aż do skutku. Dzięki temu, że zagrałam matkę autystycznego dziecka, a prywatnie jestem szefową fundacji zajmującej się szeroko pojętą edukacją dzieci, mogłam razem z Joasią Brodzik rozpocząć współpracę z fundacją Synapsis, której misją jest niesienie profesjonalnej pomocy dzieciom i dorosłym z autyzmem. Więc widać, że sytuacje są niczym ogniwa łańcuszka i nigdy nie wiemy, czym zaowocuje jakaś decyzja. Najważniejsze, żeby nie siedzieć w kącie, tylko działać.

Na stronie internetowej pani przedszkola jest piękne motto: „Dzisiejsze zakochane dziecko to to, które wczoraj pieściliśmy. Dzisiejsze roztropne dziecko to to, któremu dodawaliśmy otuchy. Dzisiejsze serdeczne dziecko to to, któremu okazywaliśmy miłość. Dzisiejsze mądre dziecko to to, które wczoraj wychowaliśmy. Dzisiejsze wyrozumiałe dziecko to to, któremu wczoraj przebaczyliśmy. Dzisiejszy człowiek, który żyje miłością i pięknem, to dziecko, które wczoraj żyło radością”.

Dziecko trzeba kochać i zapewnić mu bezpieczeństwo. Ale trzeba je także wychować, o czym często zapominamy. Mam dużo sąsiadów Amerykanów i przyznam szczerze, że jak obserwuję ich dzieci, które z nikim się nie liczą, to czuję niechęć do amerykańskiej kultury za tak zwane „bezsztosowe wychowanie”.

Nic dziwnego, że doświadczamy dziś tak silnego rozpadu więzi rodzinnych i egoistycznych zachowań. Skupieni na sobie, swoich przyjemnościach i podkreślanii indywidualności, zapominamy o odpowiedzialności za bliskich.

Alicja Węgorzewska-Whiskerd polska śpiewaczka operowa, mezzosopranistka. Urodziła się w Szczecinie, gdzie ukończyła Liceum Muzyczne w klasie fortepianu. Absolwentka Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej w Warszawie. Debiutowała na scenie wiedeńskiej Kammeroper, następnie otrzymała angaż w Neue Oper Wien. Na zaproszenie sekretarza generalnego ONZ Kofi Annana wystąpiła w Theater an der Wien obok Fiorenzy Cossotto i Grace Bumbry, w koncercie z okazji narodzin 6-miliardowego obywatela Ziemi. W swoim repertuarze ma kilkanaście partii operowych, w tym tzw. role spodenkowe, czyli męskie. Grała Orfeusza, Carmen, Dalilę, Charlottę w „Wertherze” Masseneta czy Olgę w „Eugeniuszu Onieginie” Czajkowskiego. Uczestniczyła w wielu międzynarodowych festiwalach i galach operowych, koncertowała m.in. w Niemczech, Holandii, Austrii. Za ścieżkę dźwiękową do filmu „Wiedźmin” otrzymała Złotą Płytę. Szerokiej publiczności jest najbardziej znana jako jurorka programu TVP2 „Bitwa na głosy”. Prywatnie żona Petera Whiskerda i mama 9-letniej Amelii.

Jakim była pani dzieckiem?

Chorobliwie nieśmiałym i wycofanym... Śmieje się pani?

Trudno w to uwierzyć...

Wiele osób tak mi mówi. Ale ja w piaskownicy zawsze siedziałam w kącie i z nikim się nie bawiłam. W szkole podobnie. Na dodatek byłam bardzo zasadnicza i uważałam, że skoro ja mogę odrabiać porządnie lekcje, inne dzieci też mogą, i nie rozumiałam, po co ściągać. Dopiero w liceum przekonałam się, że jestem lubiana nie tylko dlatego, że czasem można spisać ode mnie lekcje. Ale nieśmiałość przepracowywałam jeszcze przez długie lata. Dziś noszę w sobie dwie osoby, jedną na użytek publiczny, drugą dla bliskich. I niech tak zostanie.

Jak się pani czuje, oceniając występy uczestników „Bitwy na głosy”?

Staram się ich nie oceniać, tylko udzielać im konstruktywnych wskazówek. Oni ciężko pracują i bardzo się starają, nie po to, żebym siliła się na sensacyjne komentarze ich kosztem. Trzeba uważać, żeby nie wylać Mozarta z kąpielą tylko dlatego, że ktoś nie zna nut albo nie do końca panuje nad emisją głosu. Ważny jest talent. Chciałabym, żeby po programie uczestnicy nie zostali zostawieni samym sobie.

Odnoszę wrażenie, że za mało inwestujemy w młode talenty. W Niemczech najmniejszy nawet diament zostaje tak oszlifowany i wypromowany, że staje się brylantem. A my za dużo uwagi poświęcamy niepotrzebnym sprawom i celebrytom. I tak powstaje bylejakość, bo tańczą ci, którzy nie umieją, śpiewają ci, co nie potrafią, ale są za to hałaśliwi.

Kiedyś ceniliśmy mistrzów, potem nastąpiła epoka Big Brothera i teraz każdy może zostać gwiazdą. Śpiewam od lat, zagrałam wiele ról i jakoś media nie były mną zainteresowane. A wystarczył udział w popularnym programie rozrywkowym, bym nagle stała się dla mediów niezwykle atrakcyjna. Przychodzi do mnie masa dziennikarzy, choć niektórzy z nich nawet nie wiedzą, kim tak naprawdę jestem. Czy to nie jest smutne?

Nie tylko smutne, ale też irytujące. Kiedy pani słucham, przychodzi mi na myśl zapomniane dziś słowo - elegancja. Ale elegancja jest nudna, prawda? Jestem chodzącą konserwą, im starsza, tym bardziej. Sama z siebie się śmieję, mówiąc, że chcę być Lady Gagą polskiej opery. Niektórzy biorą to na poważnie... Cóż, ironia i metafora znikają z naszego myślenia. □

